

KS. MAREK CZAJKOWSKI

MISJE SĄ SPRAWĄ WIARY (RM 11) - W KONTEKŚCIE DUCHOWOŚCI KARMEŁU

Wstęp

W drugiej połowie 1998 roku wydarzyło się coś, co mogło zainteresować misjologów i misjonarzy, coś tylko pozornie oddalonego od zagadnień, wśród których oni się poruszają. 11 października 1998 roku Jan Paweł II ogłosił świętą, karmelitankę bosą, Teresę Benedyktę od Krzyża (Edytę Stein). Niektóre umysły zdominowała w związku z tym swego rodzaju „sprawa polityczna”, powracająca jak echo w relacji chrześcijan do żydów po II wojnie światowej, po Oświęcimiu. Inni intuicyjnie wyczuli, że moment ten przynosi treści bardzo bogate dla ewangelizacji, w tym, tej pierwszej ewangelizacji - misyjnej. *Edyta Stein, filozof, karmelitanka* - brzmi tytuł jednego z opracowań Editions du Dialogue. Kobieta - filozof; wiedza; mądrość; namysł; refleksja; trafna ocena sytuacji, w jakiej się żyje;... A przy tym - karmelitanka bosa. Po prostu. Zwykły, ubogi „dodatek” do poprzednich walorów i tytułów.

I tu właśnie zaczyna się dla niektórych przygoda nie tylko intelektualna. Uświadamiamy sobie, że patronka misji Kościoła powszechnego, Mała Teresa z Lisieux też była karmelitanką bosą. Pojawia się ważne pytanie: jak się to stało, że nie znana nikomu siostra zakonna, która nigdy nie postawiła stopy na rzeczywistym „terenie” misyjnym, została obwołana patronką całego dzieła misyjnego? Czy to wyłącznie sprawa jakiegoś zewnętrzznego nadania, przypadku? A może odwołanie się do paru wypowiedzi Teresy, których źródłem była osobista tęsknota za pracą na misjach? Przypomnijmy choćby takie jej wyznanie: *Chciałabym przebiegać ziemię, głosić Twe imię, być misjonarzem aż do dokonania się wieków*

(*Dziennik Duszy*). Sprawa jest poważniejsza, zatacza bardzo szeroki krąg i wychodzi w przyszłość.

Przed kanonizacją Edyty Stein, Teresa Martin, karmelitanka została ogłoszona doktorem Kościoła, podobnie jak rodzice karmelu, Jan od Krzyża i Teresa z Avila. Doktor Kościoła to nie tylko ktoś, kto wiernie *powtórzył* w swym życiu naukę katolicką, przynajmniej w jakimś jej wymiarze istotnym dla ewangelizacji, to osoba, która przez swe życie w Duchu i prawdzie (por.: Jan 4, 23) rzuciła ostrzejsze światło na świat wiary chrześcijańskiej, *nauczyła nas czegoś ważnego*, wyprowadziła z uspienia. „Doktor Kościoła” - Teresa od „małej drogi miłości” promieniuje uniwersalnie, wychodzi daleko poza ramy ściśle zakonne o nazwie „Karmel”. Promieniowanie tej prawdy nie jest już sprawą wyłącznie jednego zakonu, umiejscowionego tu czy tam w świecie, lecz sprawą „moją i Twoją”.

Jak to się stało, że Teresa od Dzieciątka Jezus z a t r z y m a n a w miejscu, w celi Karmelu, stała się patronką misji świętych będących z istoty swej dziełem dynamicznym!?

Otóż stało się to dla tych samych powodów, dla których na przykład Karol Wojtyła, piszący doktorat o zagadnieniu wiary u św. Jana od Krzyża, został Papieżem, kształtującym teologię p o s ł a n i a (czytaj: „misji”)¹. W **Karmelu, w jego głębiach jest coś, co sprawia prawdziwą misyjność, jest tam duch misji**. A Karmel przecież, jak się powiada, to „ciężka artyleria duchowości”: cela i zatrzymanie! Jak się ono ma do pełnych dynamizmu misji? Gdzie rozwiązuje się ten paradoks?

Rozwiązuje się tam, gdzie osoba, która zamierza wyjść z Dobrą Nowiną do innych, przyjmuje najpierw w sobie samej Tego, który jeden tylko jest P O S Ł A N Y, jeden tylko prawdziwie JEST i DZIAŁA, czyni „posłanym”, udziela, daruje tę wartość, jaką jest „posłanie”. Pozwolić się ogarnąć Miłości, Bogu samemu, Ojcu (rok 1999!), który wobec nas jest sam jeden *Amor fontalis*, źródłem miłości.

Ileż nieporozumień w dziedzinie ewangelizacji wynika z *pomylenia proporcji* między życiem ukrytym, wewnętrznym a czynnym! Ileż pretensji o to, że w pewnych okresach działalność misyjna zamieniała się w zewnętrzną „pomoc w rozwoju” zamiast czynić człowieka podmiotem integralnej ewangelizacji: „uczniem” (Mt 28, 19).

Nie jest łatwo odkryć wartość życia wewnętrznego, jako *wiodącego* w misyjności. Człowiek wyrывa się do akcji. Widać to po każdorazowym

¹ Por. M. Czajkowski, *Misyjny wymiar pontyfikatu Jana Pawła II*, „Światło Narodów”, 2 (1997), s. 9-30.

pokoleniu młodych misjonarzy, którzy niedługo po podjęciu pracy misyjnej cierpią głównie z powodu korekty własnej wizji misji. W porównaniu z tą nagłą „reformą” wszystkie inne powody owego cierpienia są drugorzędne. Tymczasem, terezańskie »*zatrzymanie się w miejscu*« z powodu *Boga samego*, w rozhukanim i zmiennym świecie - dokonanie wglądu w siebie, *zamieszkanie* w jedynym prawdziwym Posłanym przez Ojca, w Chrystusie żywym - okazuje się warunkiem koniecznym wszelkiej misyjności. Wobec niego sprawą wtórną jest kryterium oceniające Teresę od Dzieciątka Jezus, jako „Tę, która nigdy nie była na misjach”. Była bardziej, niż może się wydawać!

Pozostaje wniknąć, choćby w ograniczony miejscem sposób, w to „coś” w Karmelu (choć nie tylko w nim), co darowuje człowiekowi prawdziwą misyjność, posłanie. Dokonajmy tego w paru krótkich rzutach, zawsze w oparciu o „kogoś z tej rodziny”. Postacie rzeczywiście imponujące: Jan od Krzyża, Teresa od Jezusa, Mała Teresa - patronka misji, Teresa Benedykta od Krzyża (Edyta Stein).

1. Osobiste świadectwo z misjonarskiego życia:

Warto opisać w tym miejscu wydarzenie, jakie miało miejsce na misjach, aby dać choćby jeden przykład, w którym sięgnięcie po duchowość i formację karmelu przyniosło wymierne owoce ewangelizacyjne. Rzecz miała miejsce w roku 1988 i dotyczy mojej pracy misyjnej w południowo-wschodnim Kamerunie: Każdego dnia zdarza się coś, co było tam dla mnie nowością. Nie przypuszczałem, że tak szybko będę miał okazję do pisania o Matce Bożej z Lourdes, choć skojarzenie może być dla wielu wprost niesamowite. Jakiś czas temu przyszedł na misję Ernest, katechista z Bouam w sektorze Maka. Jest on przeważnie wesołym i pogodnym człowiekiem, ale tym razem był wyjątkowo poważny. Miał jakieś dziwne oczy i częściej spoglądał w dół niż na mnie, gdy prosił, abym mu towarzyszył do wioski dla zbadania sprawy pewnej dziewczyny, która „wyczynia niesłychane rzeczy i żąda mojej obecności”. Zapakowaliśmy się do wozu i biorąc po drodze nieodłącznego Pierre’a Mgbeli ruszyliśmy do Bouam. To około 10 km na wschód. Na miejscu musieliśmy trochę kluczyć, bo trudno było podjechać do schowanej za innymi ziemianki, misiałem pokonywać doły i skarpy, objechać szkołę, by wreszcie stanąć przed tajemniczym celem podróży. Drewniane drzwi domu były nierówno zawieszzone, jedna strona z piskiem stałe się zamykała więc Pierre podłożył kamień. Na razie było pusto, „żywej duszy dokoła”. Po kilku minutach w obejściu pokazała się jakaś starsza mama i wprowadziła nas do izby. Usiadłem przy stole, przymierzając się do mebla podskakiwaniem na nierównym klepi-

sku. Pod ścianami stały brązowe, pomalowane lakierem, tradycyjne krzesła. Siedzieliśmy w ciszy. Ludzie we wsi już nas zauważyli, wielu przybywało z własnymi zydłami na głowach. Wszyscy byli bardzo skupieni i dodawali tajemniczości do tej niespodziewanej wizyty. Ci, którzy nie mieli krzesel, siadali w kucki pod ścianą. Nikt nic nie mówił, nawet nie usłyszałem zdawkowego: „Bonjour mon père”. Tworzyli wokół mnie wyraźny krąg, nie przybliżając się bardziej niż trzeba było. Po jakimś czasie tego zagadkowego milczenia kobiety wprowadziły młodą, dość wysoką dziewczynę wyglądającą na 14 do 15 lat. Posadziły ją przy stole obok mnie. Dziewczyna była pierwszą osobą, która na mój widok całkiem normalnie, delikatnym głosem wypowiedziała: „Mbenben goken”, czyli „dobry wieczór”. Zauważyłem, że w tym momencie chata była już pełna ludzi, którzy zasłaniali drzwi i okna tak, że zrobił się półmrok. Siedzieli spokojnie wokół, wszyscy jak na komendę z założonymi rękami. Zniecierpliwiony trochę, zapytałem Ernesta: „Słuchaj no, o co tu chodzi?!”. On jednak rzucił tylko: „Zaraz ojciec zobaczy”. I nagle owa dziewczyna obok zaczęła się przepoczwaczać. Robiła różne wygibasy i wyginała swe ciało w różne strony. Przeciągała się wobec zgromadzonych tak, jakby się budziła z jakiegoś snu. Usłyszałem jednocześnie, jak z jej ust wydobywa się już całkiem zmieniony, gardłowy głos ochryplego starca. Przez następne kilka minut słuchałem jakiegoś nieznanego mi monologu w języku ewondo. Oczy dziewczyny biegały na różne strony, jak u człowieka w szoku psychicznym. Miała ona przez cały ten czas nagle skórcze na twarzy. Siedziałem tuż koło niej i ponieważ pierwszy raz w życiu byłem świadkiem takich scen, miałem uczucie lęku i gęsią skórę na całym ciele. Byłem zbity z tropu. Przysięgnęłbym, że to, co pokazywała owa dziewczyna, było wyjątkowe w swej oryginalności, niezwykle autentyczne i nie mogło być przez nią tak po prostu „teatralnie” wyćwiczone. Ludzie, podpierający dotąd ściany, skulili się w sobie jeszcze bardziej ze strachu i na każdej twarzy widać było niecodzienne przejęcie. Chrapliwy głos dobywający się z głębi brzucha brzmiał dalej. W pewnej chwili dziewczyna poczęła się znowu „przepoczwaczać”. Oczy wracały do normy, całe jej czoło było pokryte potem, twarz błyszczała od niego jak świeżo umyty talerz. Spojrzała na mnie tak naturalnie, jak na początku. Ernest zabrał głos, wyjaśniając: „Mon père, oto zmarły już dawno temu dziad tej panny przemawia jej ustami i w imieniu Boga żąda, by ojciec poświęcił wodę i krzyżyk, aby ona mogła za pomocą tych poświęconych rzeczy uzdrawiać chorych”. Ani się nie obejrzałem, jak postawiono na stole przede mną wielki kocioł wody ze źródła i dołączono doń drewniany krzyż bez statuy Jezusa. W izbie zapanowała całkowita cisza. Ludzie spoglądali to na mnie, to na dziewczynę, która wycierała sobie dłonie o sukienkę. Ochłonałem i zacząłem

coś w rodzaju katechezy o tym, jak Pan Jezus uzdrawiał, jak wymagał wiary od spotkanych ludzi... Wiedziałem jednak, że nie jest to sprawa na jedno spotkanie i oznajmiłem zebranym, iż teraz niczego nie mogę poświęcić, ale zastanowię się nad tą historią i jutro lub pojutrze powrócę do Bouam.

Nie tylko następny dzień, ale kilka dni i nocy zastanawiałem się nad tym wydarzeniem. Widziałem tu dwa poziomy tegoż zjawiska: mój własny i tych ludzi. Były to na pewno dwa różne sposoby myślenia. Cała moja chrześcijańska logika mówiła mi nieodparcie, że pokaz ów, chociaż wstrząsający, był bzdurą od samych korzeni. Natomiast inną sprawą jest to, jak zachowują się i myślą miejscowi ludzie, mieszkańcy Czarnej Afryki, żyjący na codzien snami, złymi duchami i niejasną ideą Boga. Ich kosmos jest całkowicie różny od naszego, oczyszczonego przez Ewangelię i filozofię chrześcijańską. W buszu, wśród moich parafian, nie istnieje świadomość radykalnej różnicy między tym, co materialne, a tym, co Boże. Wszystko wydaje się jakąś jednią, należy w pewnym sensie do tego samego świata. Odnoszę wrażenie, że ludzie, gdy mówią o Bogu, o duchach, trzymają się jedynie różnic „ilościowych”, a nie istotnych. W jednej chwili dokonała się we mnie konfrontacja dwóch światów, zderzyła się logika Historii Zbawienia z mentalnością zupełnego poddania się wpływowi duchów, których działanie każdy odkrywa na własny sposób. Ja wyszedłem z Kościoła, który ma jakąś historię. Tutaj natomiast nie ma żadnej historii! Jest jedno „teraz” rozmywane każdego dnia w przypuszczeniu jedynie, że kierują nami jakieś ukryte siły. Uważałem, że muszę sobie odpowiedzieć na parę pytań. W gruncie rzeczy dochodziło do mnie, że istotą sprawy jest nie tyle to, czy mam „uzdrawiać”, a innym na to oficjalnie pozwalając, ale zupełnie inna kwestia: „Jaki Kościół tutaj budować? Jakimi metodami?” A zatem dzięki temu wydarzeniu zostałem jakby nagle sprowokowany do myślenia o rzeczach najbardziej podstawowych dla misji. To było tak, jakbym odbył ważne rekolekcje i został postawiony wobec najżywoźniejszych dla Kościołach rozstrzygnięć. Misje są linią frontową chrześcijaństwa, a więc to tu trzeba sobie stawiać pytanie, po co przyjechałem? Jaki ma być Kościół? Jakiego Kościoła oczekuje Chrystus?

Pojechałem po radę do kolegi misjonarza, do Karola w Nguemendouka. Ponieważ on był aktualnie w terenie, zbierał kawę, pobylem trochę u sióstr Michalitek, które gościnnie udostępniły mi swoją bibliotekę. Chodziłem jak we śnie, szukając „czegoś”, jakiejś drogi do rozwiązania mojego problemu. I w tym momencie ktoś może się uśmiechnąć z pobłażliwością - ale czując, że trafiam w punkt - wydobylem z szafy

Dzieła św. Jana od Krzyża. Wpisałem się u siostr na listę „czytaczy” i wróciłem do Diangu. Wszystkie inne sprawy zeszyły na drugi plan, a ja naładowałem moją lampę naftową, kupiłem paczkę zapalek i... ruszyłem z miejsca. Szukając drogi do rozwiązania problemu, jaki się zrodził w Bouam, znalazłem się na drodze na Górę Karmel. Wiem, że już w seminarium widziałem kątem oka „Pieśń duchową” św. Jana od Krzyża, wydawała mi się ona wtedy jedynie książką na czytanie duchowne. Ale życie codzienne, rzeczywiste zagadnienia ewangelizacji i misji...? Czy można tu coś rozstrzygnąć za pomocą tych dzieł? Ciekawe, że to właśnie w afrykańskim buszu po to sięgnąłem. Może i zewnętrzne warunki sprzyjają w Afryce takiej lekturze... Samotność, bardziej duchowa niż fizyczna; zubożenie, dni i noce trwające przez cały rok dwanaście na dwanaście godzin... Może ta Afryka misjonarska jest rzeczywiście jakąś pustelnią, której czasami się boimy, lecz która, po odkryciu jej tajemnic, staje się czymś niezwykle drogim. Samotność staje się najbliższym i niezawodnym przyjacielem, z którym się rozmawia, z którym się błądzi, który cię spowiada...

Każdego wieczoru, gdy już wszystko ucichło, siadałem w swoim fotelu i kładłem lampę na jego oparciu, aby lepiej mi się czytało. Pokój zamieniał się w celę. Czytałem do drugiej-trzeciej nad ranem. Jakoś zobojętniałem na karaluchy, a może to one poczuły świętości i ukryły się „do następnego grzechu”? Co jakiś czas przerywałem lekturę i robiłem sobie notatki. Czas mijał szybko jak nigdy. Św. Jan od Krzyża odsłaniał mi perspektywy nie tylko dla mojego „tu i teraz” w Diangu, ale dla całego życia. Stawałem się tak pełny duchowo, tak pewny siebie i radosny, że jedynie dziwiłem się moim dawnym humorom i już niejakiemu zmęczeniu buszem. Przestrzeń jest w duszy! Nie na sawannie!

Droga na górę Karmel prowadziła do rozwiązania zagadki z Bouam. Wiodła przez noc zmysłów i ducha, gdzie człowiek zaczyna prawdziwie tęsknić za Bogiem, nie myląc Go z czymkolwiek i kimkolwiek. Czyż to nie jest istotą życia religijnego? Wyzbyć się bałwochwalstwa i tak wielu jego ukrytych form! Cóż przyjdzie człowiekowi, jeśli nawet cały świat zyska, a na duszy swojej poniesie stratę? Czyż nie najważniejszą rzeczą dla chrześcijanina jest dążyć do coraz to głębszego zjednoczenia z Bogiem, który przewyższa wszystko? Każda religia kryje dla psychiki ludzkiej swoistą zasadzkę: polega ona na tym, że człowiek czepia się samego faktu, iż Bóg jest wszechmocny. Nie interesuje mnie już Jego wola, stawanie się na Jego obraz, nie słucham już sygnałów, jakie On mi nieustannie wysyła. Odkrywam w Nim nagle bezbrzeżne źródło dla moich ludzkich pragnień, które muszą być spełnione. I to natychmiast! Presja naszej ludzkiej biedy, czasami rzeczywistej, nie zmyślonej, pcha nas w stronę urwiska, którym

staje się nasza własna modlitwa, kiedy zmienia się w jedno, wielkie żądanie: „Daj!”. Ci wszyscy ludzie, którzy w Bouam z takim przejęciem obserwowali „nawiedzoną” dziewczynę, czekali tylko na moment, gdy poświecę garnek wody: świat duchów, świat Boga stałby otworem! Na każde zawołanie. Na każdy kaprys człowieka, który Boga samego tak na dobrą sprawę nie potrzebuje, który widzi jedynie to, co ziemskie. Ileż jest religii na świecie, które do perfekcji opanowały zaspokajanie naszych żądz. Ileż jest sekt na świecie, które wołają w stronę ludzkiej naiwności: „Przyjdźcie do nas, a nigdy nie umrzecie, nigdy nie zachorujecie, będziecie bogaci!”. Iluż jest fałszywych proroków, którzy już dawno temu sprzedali swą uczciwość i dzisiaj przebiegają Afrykę wzdłuż i wszerz siejąc zamęt, mamiąc tych najbardziej potrzebujących. Św. Jan od Krzyża mówi inaczej: trzymaj się tej jedynej i pewnej drogi, która prowadzi ku Bogu, drogi Jego przykazań, Jego Krzyża, Jego Ewangelii. Nie podporządkuj twej duszy ani pożądanom rzeczy materialnych ani dóbr duchowych, bo ani jedno ani drugie nie są Bogiem. Nawet największa radość z posiadania czegokolwiek na ziemi jest niczym wobec przyjaźni z Bogiem samym, takim, jakim On jest w całej swej prawdzie. Wielu ludzi, którzy uznają się za wierzących, zapomina, że Bóg jest Kimś, a nie czymś. Dlaczego nie pragną Jego samego, dlaczego rozdrabniają się nieustannie? Człowiek, który uzależnił się od rzeczy jest trywialny, mały, pusty. Kiedyś jeden z naszych holenderskich misjonarzy, ojciec Guisse wziął do ręki zwykły kij, jaki leżał przed domem, w którym mieliśmy spotkanie. Pokazał go wszystkim i powiedział: „Ludzie są czasami jak ten badył, z zewnątrz jeszcze zachowuje jakiś wygląd, ale w środku...” - tu ścisnął mocno kij, jakby to była gąbka i... jedynie kurz poleciał na posadzkę. Guisse, który tu pracuje od czterdziestu lat, wiedział dobrze, że cały miąsz jest przeżarty przez termity.

Cała droga dóbr materialnych jest myląca i błędna, gdy idzie o prawdziwe zjednoczenie z Panem. Człowiek uzależniając się od rzeczy, od zjawisk, niekiedy od ludzi, czyni się prawdziwym niewolnikiem, a to uniemożliwia mu życie religijne, dla którego trzeba być wolnym wewnątrz. Bierze radości tego świata za radość płynącą z wiary i gdy mu już zabraknie tysięcznych bodźców, które go bawiły - jest nagi i pusty. Nie tu leży pewność i równowaga życia chrześcijańskiego. Z kolei, gdyby się poddać drodze dóbr duchowych, jako jedynej i ubogacającej - w tym: różnym wizjom, przepowiedniom, przecuciom, temu, że „ktoś coś widzi”, i iść za tym, to burzylibyśmy naturalną i zwyczajną drogę Kościoła w jego codziennym, żmudnym wysiłku **wiary**, Krzyża, sakramentów, katechezy i postępowania moralnego. Odnosnie do dóbr materialnych powyższe zagadnienie wydaje się oczywiste, natomiast w odniesieniu do pożądania dóbr duchowych należy dodatkowo wyjaśnić przyczynę zdrowej

chrześcijańskiej nieufności w tym względzie: istotne jest bowiem nie tyle to, czym jest dane dobro duchowe, ile fakt samej *pożądliwości, jako postawy*, upodobania ze strony człowieka; pożądanie nie służy przemianie chrześcijańskiej. Zawsze pozostaje problem: *jako kto* pożadam tegoż dobra, *kim jestem* wewnętrznie, czy nie ludzę samego siebie? Czy nie traktuję owych dóbr instrumentalnie, bez osobistej wewnętrznej przemiany, jedynie zaspokajając stale ten sam zmysłowy poziom egzystencji? Bez przemiany na sposób paschalny, pożądanie, nawet wobec dóbr natury duchowej jest cały czas postawą nie wychodzącą poza cielesność. W tym momencie sam rodzaj dobra nie odgrywa większej roli. Człowiek źle pożąda tak samo dóbr duchowych, jak materialnych. Zmienia się jedynie przedmiot pożądliwości, natomiast nieszlachetność podmiotu pozostaje. Jest to autentyczna przeszkoda w rozwoju religijnym człowieka. U Jana od Krzyża jest coś bardzo cennego: gdy naucza on o wierze, daje równocześnie integralny obraz zachowań tak, że człowiek uczący się wiary, uczy się jednocześnie nie ulegać złudzeniom ze strony swej własnej psychiki i duchowości. Wiara u św. Jana od Krzyża staje się dla chrześcijanina swego rodzaju koniecznym narzędziem do życia w prawdzie, w **rzeczywistości prawdziwej i spójnej**, tak w odniesieniu do Boga, jak do ludzi, rzeczy i wydarzeń. Najpewniejszą drogą chrześcijanina jest wyzwalający Krzyż Chrystusa, będący drogą, sposobem życia paschalnego w doczesności, paschą wśród ludzi, rzeczy i wydarzeń. Paschą, czyli stałym i bezbłędnym odnoszeniem wszystkiego do Boga.

Po kilku dniach wróciłem do Bouam. Ludzie wiedzieli, że przyjadę. Przyszli nawet okoliczni muzułmanie. Stałem w szarej sutannie przed tym czarnym audytorium, gdzie nie było ani jednej osoby tak naprawdę zdrowej. Począwszy od dzieci, a skończywszy na starcach, wszyscy na coś cierpieli, jeśli nie na choroby weneryczne, to na robaki, malarię, trąd... Mogę powiedzieć, że miałem przed sobą ludzi autentycznie potrzebujących uzdrowienia. I zacząłem mówić. Najpierw przypomniałem sobie - jak ja mogłem o tym zapomnieć! - że chrześcijanie z Bouam wybrali dla swej wspólnoty tytuł: Matki Bożej z Lourdes. To czysty przypadek, a może zrządzenie Opatrzności... Zacząłem mówić o Maryi, która uzdrowia. Po chwili jednak zбочyłem na inne tory. Opowiadałem o cierpieniu, jakie Jezus wziął na siebie i jak sensem naszego życia jest nie tyle naśladować Go jakoby z zewnątrz, ale *żyć* Nim samym, uobecnić w sobie Jego życie. W tej buszmeńskiej kaplicy wyjaśniałem naukę świętego karmelity z Hiszpanii, tę właśnie zapomnianą „ciężką artylerię duchowości”, o strukturze wiary chrześcijańskiej przeciwnej życiu na: „daj!”. Wreszcie zapytałem wprost wszystkich zebranych: „Jakiego Kościoła chcecie?” Takiego, jaki proponują sekty, gdy wam mówią, abyście opuścili misję, po-

nieważ ta za wiele wymaga? „Jakiego Kościoła chcecie?” Czy takiego, który nieustannie jest w swym życiu rozrywany nawoływaniem z różnych stron: „chodźcie tu, chodźcie tam, tu czy tam teraz właśnie *ktos coś widzi, ktoś uzdrawia...*”? To pytanie zawisło w powietrzu, jak coś decydującego o dalszym losie mojej misjonarskiej pracy, o jej kierunkach. W takich chwilach misjonarz musi stawiać wszystko na jedną kartę, aby nie sprzedać tych ludzi, nie wydać ich relatywizmowi rozmaitych poglądów. W kaplicy panowała cisza. „Czy chcecie świadczyć o Chrystusie i zdrowiem i chorobą - całym życiem? Czy jesteście za codziennym budowaniem waszej wspólnoty opartej na Ewangelii, Krzyżu, przykazaniach Bożych? Czy chcecie żyć **wiarą?**” W jednej chwili wszyscy ci ludzie, z których każdy potrzebował nagłego uzdrowienia, zaczęli klaskać w dłonie. Ręce twarde od maczety, niektóre bez palców, głosowały za prawdą o Kościele, o prawdziwie uformowanej wierze. Nie było potrzeby rozpatrywania monologu zmarłego dziadka. Karmel uczył wiary, uczył misyjności.

2. Wiara i miłość chrześcijańska a działanie. Relacja: wiara i miłość a integralny obraz rzeczywistości.

Pewien katechista /Tomasz Pouzuong/ w południowo-wschodnim Kamerunie zwierzał mi się któregoś wieczoru: „Ludzie w naszych wioskach, w buszu czy w lesie zawsze jakoś żyli miłością, przecież inaczej nie byłoby dzieci, my znamy miłość, ona zawsze jakoś formowała nasze życie. Zanim przyszli misjonarze, dobrze *wiedzieliśmy co robić* w życiu. Były prawa, zwyczaje, istniał przecież jakiś porządek. Kościół natomiast, przez sam fakt, że przyniósł nam „p r z y k a z a n i e miłości Boga i bliźniego”, czyli miłość „jako nakaz - właśnie: *przykazując ją (!)*”, „zdeformował”, rozbił wiele naszych zwyczajów. Choćby ten zwyczaj odnoszący się do tzw. „szukania lekarstwa (remede)” na rozmaite dolegliwości ludzkie... Afrykańczyk epoki przedchrześcijańskiej praktycznie spędza życie na szukaniu „lekarstwa” na różne zagrożenia, zewnętrzne i wewnętrzne. Szukając, odkrywa owo „remede” w najróżniejszych przedmiotach, a jeszcze dzisiaj bywa niekiedy, że i w ciele drugiego człowieka, spożywając „coś z niego” - jako owo „lekarstwo” dysponujące mocą, będące zabezpieczeniem człowieka. Ale - proszę ojca - jakże to mogę dzisiaj brać „coś” z ciała drugiego człowieka, nawet w tak ważnym celu, jeśli wiem (i ludzie to wiedzą!), że ten ktoś inny, obok mnie, jest (według nauki Kościoła) „moim bliźnim”?! Miłość jako *przykazanie* czyni z drugiego człowieka *bliźniego*, zabrania więc odtąd korzystać z dobrodziejstwa całego zwyczaju nazywanego „remede”?! Ratowanie sie-

bie *kosztem* innego człowieka stało się niemożliwe, ponieważ Kościół bardzo wyraźnie postawił go przede mną - jako bliźniego! Ta zdecydowana postawa, to w Afryce nowość! Co teraz począć z zagrożeniami, co z lękami, skąd brać moc, gdy na drodze zwyczajowi stanęła miłość bliźniego? Jak teraz mamy *porządkować* własne życie? Co dalej z naszym *działaniem*, polegającym na *szukaniu* i *odkrywaniu*...?" Tyle katechista z plemienia Mezime.

A Karmel naszej misyjnej patronki - w jakim kontekście przedstawia miłość? Na przykład w kontekście *ogolocenia, umartwienia*. Czy to *ogolocenie* ma jakieś bezpośrednie odniesienie do *działania, do starania się o swoje*? Rozważmy słowa z Ewangelii: *Będziesz miłował Pana Boga swego całym swoim sercem, całą swoją duszą, całym swoim umysłem i całą swoją mocą* (Mk 12, 30) oraz: *Ojciec mój działa aż do tej chwili i Ja działam* (J 5, 17); porównaj też cały fragment apologii Jezusa: *W odpowiedzi na to Jezus im mówił: Zaprawdę, zaprawdę, powiadam wam: »Syn nie mógłby niczego czynić sam od siebie, gdyby nie widział Ojca czyniącego. Albowiem to samo, co On czyni, podobnie i Syn czyni. Ojciec bowiem miłuje Syna i ukazuje Mu to wszystko, co On sam czyni, i jeszcze większe dzieła ukaze Mu, abyście się dziwili«* (J 5, 19-20).

Kochając Boga Trójjedynego wiem, że tylko On prawdziwie Jest i Działa. Zatem *slucham*, otwieram się Nań w *cierpliwości i posłuszeństwie*. Św. Paweł, gdy opisuje *miłość*, zaraz na początku daje do zrozumienia, że jest ona najpierw - *cierpliwa* (1 Kor 13, 4). *Pozwalam* (właśnie tu ujawnia się owa *cierpliwość*) *Bogu samemu działać*. Inaczej miłość byłaby pozbawiona treści. To jest karmelitańskie „czekanie na Boga”. Slucham, słuchając ogolacam się, odrywam od tego, co Bogiem nie jest; ogolając się zaczynam rozumieć; rozumiejąc, proszę o włączenie do współpracy, współdziałając, zbawiam. *Staję się posłanym*. Zatem miłość, przez ową *cierpliwość* i *posłuszeństwo* jest ściśle związana z działaniem, ze współdziałaniem: jest ona „czynieniem drogi Panu”, robieniem Mu miejsca, jak w przypadku Jana Chrzciciela (Początek Ewangelii o Jezusie Chrystusie, Synu Bożym. Jak jest napisane u proroka Izajasa: *Oto Ja posyłam wysłańca mego przed Tobą; on przygotowuje drogę Twoją. Głos wołającego na pustyni: przygotujcie drogę Panu, Jemu prościejcie ścieżki* (Mk 1, 1 n.). To w odniesieniu do miłości Boga samego.

Natomiast w odniesieniu do drugiego człowieka, do *bliźniego*. Powiedział Chrystus nawet: *miłujcie waszych nieprzyjaciół, i módlcie się za tych, którzy was prześladują* (Mt 5, 44). Czy to naiwne? Nie, lecz wtedy, gdy przyjmie się i to drugie przykazanie także ze względu na Boga, *który sam działa*. *Spodziewam się* w konkretnych, bardzo różnorodnych osobach

owego działania Bożego ku zbawieniu, przekraczającego moje własne i ograniczone kryteria, dlatego również z tą samą *cierpliwością i posłuszeństwem kocham*, czyli *pozwalam działać* w bliźnim Temu, który sam jeden Jest i Działa. Mamy tu pełniejszy sens modlitwy: *... bądź wola Twoja*. Decydujące jest tu odniesienie do Boga, a nie tylko do ludzi, także w tym, co dotyczy samych ludzi. Tu nie ma wyłącznie wymiaru socjologicznego i psychologicznego, priorytetem jest wymiar religijny, pierwszym oparciem jest sam Bóg i Jego zamysł, wola Boża. A zatem, podobnie jak w przypadku mojego stosunku do Boga samego, któremu pozwalam działać, nie wyprzedzając Go, tak samo, ze względu na tegoż Boga prawdziwego, *pozwalam działać* człowiekowi. *Wszystko, co uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, Mnieście uczynili* (Mt 25, 40; por.: daleko idące słowa wobec wolności ludzkiej: *pozwólcie obojgu rósć aż do żniwa* z przypowieści o chwaście Mt 13, 24 n.). W człowieku *spodziewam się* Boga, kogoś więcej niż tylko „ten oto tu”, ogarniany zmysłami, opisany jakąś „wizytówką”. To trochę tak, jak w powiedzeniu Edyty Stein: *Żadna kobieta nie jest tylko kobietą*². W tym sensie, człowiek nigdy nie jest *tylko człowiekiem*... ogarnianym ograniczeniami widza. *Człowieka można do końca zrozumieć tylko w Chrystusie* (Jan Paweł II - kazanie w Warszawie w 1979 roku).

Nasuują się pierwsze wnioski ogólniejsze: Cierpliwość i posłuszeństwo w miłowaniu zarówno Boga, jak i bliźniego posiadają tę samą misyjną perspektywę! Duch Karmelu, ucząc owego „stawania w obliczu Boga”, czy też „czekania na Boga” - uczy, jak być posłanym. **Karmel ucząc miłości, uczy misyjności.** Mała droga miłości patronki misji, Teresy Martin, jest szkołą misji.

Powracając do katechisty należy zauważyć, że w miejsce „wiedzy”, jakiegoś poruszania się wzdłuż zwyczajów, które „porządkowały” dotąd życie tych ludzi na sposób „lekarstwa na wszystko”, Kościół misyjny wnosi w i a r ę i m i ł o ś ć, owszem, deformuje zwyczaje, ale i na nowo formuje życie, kształtuje różnorakie odniesienia od nowa, teraz już przez miłość chrześcijańską, podbudowaną wiarą i nadzieją: człowiek s p o d z i e w a się Boga samego, który stale działa.

Będąc misjonarzem w Afryce, bardzo często miałem wrażenie, że jako człowiek, który „wierzy”, staje wobec ludzi, którzy „wiedzą”. Spotykałem ludzi religijnych, którzy kierowali się w życiu wiedzą płynącą z owej swoistej, afrykańskiej kosmologii, która opisuje świat, tłumaczy

² E. Stein, *Etos zawodów kobiecych*, w: tejsze, *Z własnej głębi*, Kraków 1978, s. 26.

Boga, ludzi, wydarzenia, rzeczy... Ludzie ci wydawali się pewni swego, „poukładani”, na swój sposób uporządkowani, żyli określonym prawem... Jaka postawa jest doskonalsza: *wiedzieć czy wierzyć*? I która z tych postaw ma większe możliwości integralnego poznania otaczającej rzeczywistości? Oczywiście, podejmujemy tę refleksję w odniesieniu do wiary chrześcijańskiej.

3. *Fides et ratio*

Spróbujmy teraz prześledzić powyższą relację: *wiedzieć - wierzyć*: już nie na gruncie afrykańskim, lecz w życiu świętej Teresy Benedykty od Krzyża (Edyty Stein), a zatem na gruncie doświadczeń europejskich. Rzeczą decydującą jest tu dla nas przemiana, jakiej doznała ona w oparciu o duchowość i formację karmelu. Edyta Stein dwukrotnie doświadczyła integralności ludzkiego poznania. Jednakże pierwsze z tych doświadczeń dokonało się w sferze owego *wiedzieć*, a drugie w sferze *wierzyć*. Pierwsza integralność, budowana w oparciu o fenomenologię, a w niej o tzw. „redukcję transcendentálną”, wkrótce rozpadła się. Powtórna próba spójnego ogarnięcia całej rzeczywistości podjęta została w świecie wiary chrześcijańskiej, według logiki karmelitańskiego *nada* (hiszp. nic), jako daru łaski. Warto choćby w ograniczony sposób zanalizować etapy owej przemiany. Edyta Stein jako karmelitanka bosa dołącza do grona wielkich nauczycieli ewangelizacji i misyjności.

Św. Jan od Krzyża w *Drodze na Górę Karmel* posługuje się słowem *nada*. Zdarza się, że człowiek doświadcza pustki, nicości. Istnieje jednak w tej materii pewne zróżnicowanie: czym innym jest owo *nada* w sferze *ratio* niż w sferze *fides*. Pustka, noc duchowa, jakiej doświadczyła młoda Edyta Stein, filozof fenomenolog, czy Simone Weil i wiele innych aktywnych życiowo osób, to swego rodzaju nicość *wypracowana sobie samemu* przez człowieka. Istotnie inną jest *nada* będące DAREM z góry. Jan od Krzyża otrzymał dar owej ciemności ze źródeł, z których bije w oczy oślepiająca Obecność, w świecie wiary, nie przez dotarcie do kresu własnego rozumu samotnie poszukującego sensu *tego świata*:

*Znam dobrze źródło, co tryska i płynie
choć się dobywa wśród nocy.*

*Wiem, gdzie swe wody ma ten źródło kryniczny
ukryty w głębi tajemnic i wieczny,
Choć się dobywa wśród nocy.
Początku jego nie znam, bo go nie ma,*

*Lecz wiem, że każdy byt swą mocą trzyma,
Choć się dobywa wśród nocy. (...)*

Wyznanie Simone Weil, iż *jako jedyny wybór posiada mniejsze lub większe kłamstwo...* w jej ówczesnej, określonej sytuacji nie powinno dziwić. To się może zdarzyć człowiekowi poszukującemu, że w tych samych rzeczach, które inni przyjmują prostodusznie jako normalne i zrozumiałe, on doświadczy bezsensu istnienia. Samo to *doświadczenie* nie powinno dziwić. To, co może wywołać zdziwienie w przypadku tejże grupy ludzi ocierających się o pustkę, to fakt, że w ich gronie bardzo wielu w pewnym momencie stwierdziło: *nic nie jest bardziej realne od Boga!* Jak to się dzieje, że ludzie wychodzący z takiej podstawy, z takich źródeł *czysto ludzkich*, z doświadczenia nicości świata wokół nich, potrafią na stałe opowiedzieć się za Bogiem, dają się poznać innym jako ludzie dobrzy, szlachetni, których cenimy? Zagadnienie to otwiera nas szeroko w stronę tych, którzy żyją stale poza widzialnymi granicami Kościoła. Wyliczmy tutaj choćby dwie grupy ludzi: ta, do której zaliczymy młodą Edytę Stein, filozof-fenomenolog, oraz wspomnianą już Simone Weil. Ludzie sfery *ratio*. I inna grupa, ludzie kultury umysłowej właściwej dla ducha tzw. *religii Wschodu (mistyki właściwej doświadczeniu nicości w tymże świecie)*. Te dwie kategorie ludzi są do siebie podobne, ponieważ na spotkanie z jedyną w sobie realnością Boga podróżują od strony źródeł ludzkich, nie mając u samych podstaw takiego daru, jaki otrzymał choćby św. Jan od Krzyża. Oni z jednej strony i Jan z drugiej, to dwa różne doświadczenia *nicości*, a za nimi odpowiednio dwa różne doświadczenia Boga, jako *pełni*, jako *jedyne-go-co-realne*. Możemy spotkać *wielu mistyków*, ale i - jedną, bardzo określoną *mistykę*, mistykę *par excellence*, która w Kościele ujawnia się razem z Bogiem osobowym, z Jezusem Chrystusem i poza Nim nie istnieje. Mistyka, jako dar Kościoła, rozlewająca się na ludzi i narody *wraz z posłaniem Kościoła*, wraz z misjami. Simone Weil, która nie przyjęła chrztu, oświadczyła równocześnie, że „może umrzeć za Kościół”...

Dwie perspektywy, które gdzieś jednak się spotykają. Perspektywa Karmelu: czyli perspektywa daru, dziecięctwa, Obecności, miłości, historii-z-Bogiem, ufności, rodzinności, jeśli - *nocy*, to *darowanej* i - perspektywa inna, tych wszystkich ludzi złączonych jakoś wspólnie przez *ratio*, choćby owej szerokiej społeczności *żydowskiej* w Europie początku XX wieku, która wydała myślicieli znanych światu, jak mistrz młodej Edyty Stein, Edmund Husserl, odchodzący z tego świata w okolicznościach dramatycznego rozdarcia między *ratio* i *fides*...

Kościół misyjny, posłany do ludzi, napotyka na swej drodze osobowości bardzo trudne, skomplikowane, doświadcza swoistej „niemożliwości penetracji w głąb”. Edyta Stein już jako karmelitanka, siostra Teresa Benedykta od Krzyża, z wielkim trudem usiłowała odsłonić świat wiary swemu przyjacielowi, filozofowi, Romanowi Ingardenowi. Takie sytuacje są zawsze dla misyjności Kościoła niezwykle wyzwaniami. Człowiek może się w całym życiu wygodnie „rozsiąść” w swym *ratio*, zbudować świat daleki od Janowego *nada*. Może być dobrym, szlachetnym człowiekiem w tym swoim świecie uporządkowanym przez rozum. Dla kogoś z zewnątrz, patrzącego nań oczami wiary, jawi się on jako ten, który podlega swoistej dyscyplinie, *musi stawiać tylko pewne kroki*, nie stać go na niepewność, musi nieustannie spełniać wysokie wymagania owego porządkującego rozumu. Ta cecha „porządności” nie powinna dziwić, jeśli wiadomo, że poza owym ścisłym kierowaniem się rozumem czyha pustka. Alternatywą dyscypliny jest ciemność. Zatem *ratio* staje się tu wręcz formą *instynktu samozachowawczego*, obrony przed nicością, którą się intuicyjnie przeczuwa - i to razem z własnym uporządkowaniem i wszelkimi walorami „czystego rozumu”. Obiektywnie świat owego *nada* - gdzieś stale czyha na człowieka. *Stawiać wyłącznie pewne kroki*, trzymać się za wszelką cenę w tym nieustannym biegu po ostrej, ambitnej grani życia, z której można się jednak ześlizgnąć w pustkę... Wierzący doświadczają ludzi z kręgu takiego *ratio* jako swoiście uporządkowanych, którzy muszą *wiedzieć*, muszą mieć oparcie. Nikt ich tak łatwo nie ściągnie z tej grani prostą perswazją: „rzuć się w przepaść, w ciemność, zaufaj”. Tu czasami trzeba bardziej krwi niż słowa... Misyjność zna tę konieczność. Podobnie jak u Świętej Teresy Benedykty od Krzyża trzeba współcierpienia, Krzyża, aby kogoś przeprowadzić z jednego świata do drugiego, do wiary: można się tylko starać, by życie, które sobie wybraliśmy, przeżywać coraz wierniej i coraz czystiej, tak aby je złożyć jako możliwą do przyjęcia ofiarę za wszystkich, z którymi czujemy się związani.

Edyta Stein jako karmelitanka zachowała w sobie pamięć o Edycie Stein będącej filozofem, zatem o jej własnym, choć już *byłym* świecie - właśnie: uporządkowanym, zamkniętym, w którym *musiała* z niezwykłą precyzją przestrzegać pewnych praw, stawiać tylko *pewne kroki*, aby się nie ześlizgnąć w przeczuwaną nicość. Skąd wzięła się u niej **fenomenologia**? Może z bardzo prostego i ludzkiego pragnienia: *aby nie być samotną*. W swej pierwszej fazie rozwojowej, jaką Edyta Stein spotkała u Husserla, fenomenologia *realna* była szeroko otwarta na wszystko, co istnieje, bez uprzedzeń dotykała wszelkich istniejących fenomenów, a przy tym je porządkowała! Nareszcie (!) poznaniem swoim człowiek dociera jednocześnie w szerokim oglądzie do *wszystkiego*, a w *uporządkowaniu* rzeczywi-

stości do wewnętrznego *spokaju*. To dwie niezwykle pożądane wartości. Nie można być *sobą* wyłącznie przez same zdolności intelektualne, przewyższające innych, jak to było z małą Edytą w jej domu rodzinnym we Wrocławiu, ponieważ wtedy jest się samotnym. Ale jeżeli owe zdolności znajdują drogę do *wszystkiego-co-istnieje*, a przy tym *uporządkują w sobie to wszystko*, to można z radością powiedzieć: „nie jestem już sam”. Fenomenologia nie chciała być „jakąś filozofią”, jednym z kierunków. Chciała być bazą jak najbardziej podstawową dla wszelkiego filozofowania. To pragnienie mówi więcej o *osobowościach* pierwszych fenomenologów niż o samej owej dziedzinie poznania. Chcąc przekroczyć „grzech psychologizmu” w filozofowaniu, fenomenologia w swoich początkach ujawniła całkiem określoną psychikę jej założycieli. Powrót do rzeczywistości, do przyjaźni z rzeczywistością, pogodzenie się z tym, co „za oknem”, a nie tylko „w ideach”. Fenomenologia jest dla Edyty Stein jakimś uzdrowieniem w porównaniu z jej zbuntowanym duchem jeszcze w Hamburgu. Z drugiej strony, jest to tylko początek. Uzdrowienie to kryje bowiem w sobie pewien *kryzys*. Jest to uzdrowienie tymczasowe, właśnie owo „chodzenie po ostrej grani”, wobec czyhającej przepaści, pustki. Edyta z wyniosłego dziecka staje się uporządkowanym, dobrym, szlachetnym człowiekiem. Buduje świat równowagi wewnętrznej, zdaje się być zintegrowaną w sobie. Jako fenomenolog *widzi rzeczywistość* w taki sposób, że nie daje się już sprowadzać ku sądom cząstkowym, ograniczonym, przeżywa swoją pełnię. Widzi w ludziach dobro, cieszy się ludźmi, zaczyna ich *potrzebować* i przez to przestaje być samotna w taki sposób, jak wcześniej. Iluż ona miała przyjaciół jako fenomenolog, w jakich kręgach się nie obracała, można by stwierdzić, że ludzie byli jej życiem; towarzystwo, w obrębie którego poznaje się sens rzeczywistości. Miłość wśród filozofów. Przyjaźnie - inne niż czysto przypadkowe. I to wszystko dzięki *ratio!*

Edyta Stein, która *transcenduje* rzeczywistość i przeżywa radość *ponieważ* ją transcenduje.

Jakiego rodzaju kryzys tkwił w owej fenomenologii? Kryzys twórczy otwierający na to, co ma przyjść. W pewnym momencie bowiem, Edyta, która transcenduje wszystko wokół siebie, doświadczy tego, że *jest transcendowana*. Sama transcenduje tylko dlatego, że jest transcendowana przez Kogoś, kogo ujmie w zdaniu: „kto szuka prawdy, świadomie czy nie, szuka Boga”. Ale droga kryzysu miała swoje etapy.

Jeden z etapów miał swe źródło w samym fakcie *otwarcia* w postawie fenomenologicznej, miał charakter metodologiczny. Owo *widzenie rzeczywistości*, które cechowało Edytę Stein jako fenomenologa, przyjazne otwarcie na rozmaite fenomeny: ludzi, rzeczy, wydarzenia, sta-

ny, relacje wzajemne - samo w sobie jest nastawione ku wypełnieniu w inny, głębszy, bardziej zasadniczy sposób. Nie każda postawa filozoficzna tego „pożąda”. Fenomenologia w swych początkach, transcendując - mogła dać filozofowi choćby intuicyjne przeczucie „bycia transcendowanym”, stąd również otwarcie Edyty Stein (jak i zresztą - z innych motywacji - R. Ingardena) na fenomen religijności! Inny etap owej kryzysowej drogi zrodziły same przemiany w łonie fenomenologii, która z *realnej* przeszła za sprawą samego Husserla w sferę *idei*. Obóz fenomenologów, w tym grono przyjaciół Edyty Stein, zróżnicował się i podzielił, jedni stanęli po stronie *realności* inni po stronie *idei*, uciekając od początkowego otwarcia się na przedmioty doświadczane zmysłowo. Wraz z rozwojem fenomenologii uwyraźniła się metoda fenomenologiczna, zwana „redukcją transcendentalną”, której głównym posunięciem jest tzw. „wzięcie w nawias”, redukcja wszystkiego, w co można wątpić, a przede wszystkim: „zredukowanie samego *istnienia* fenomenów”. Fenomenologia „poza kategorią *istnienia*”, fenomenologia samej *istoty* fenomenu. Edyta Stein, uporządkowana przez fenomenologię realną, uspokojona w sobie samej przez ową przyjaźń z otaczającą rzeczywistością, staje wobec tejże nowej fenomenologii swego mistrza i traci z nim kontakt. Podobnie zresztą, jak z innymi osobami z kręgu filozofii w ówczesnych Niemczech. Płaszczyzną kryzysu jest konflikt między *istnieniem* i *istotą*. Czy da się tak po prostu „wziąć w nawias” *istnienie* przedmiotów? Jakie to będzie miało konsekwencje egzystencjalne?

Edyta Stein wkracza w nową dla niej samotność. Właśnie w ten jej rodzaj, który powyżej pojawił się, jako przeciwieństwo ciemności *darowanych* - na przykład: św. Janowi od Krzyża. Samotność i ciemności *zpracowane* przez człowieka, przez *ratio*. Życie samą *istotą* rzeczy dociera do swego kresu.

Równocześnie ów kryzys potęguje się ku nowemu rozwiązaniu: *istnienie*, jako kategoria wyłamuje się z owego metodycznego nawiasu! W języku teologii można powiedzieć, że Ten, który jeden tylko prawdziwie JEST, jeden tylko prawdziwie ISTNIEJE - oznajmia powoli swe ISTNIENIE. Istnienie wzięte w nawias daje o sobie *znać* ponownie, lecz teraz od strony Absolutu, który jako Ktoś - *prawdziwie Jest*. Ten, który jeden tylko prawdziwie *Jest*, prawdziwie też *transcenduje* człowieka szukającego prawdy, transcendującego świat wokół siebie. Edyta Stein otwarta jako fenomenolog na fenomen religijny, pozna u św. Tomasza z Akwinu, że odnośnie do Boga - „istota Jego jest identyczna z istnieniem”. Bóg, którego *istnienie* (wzięte wcześniej „w nawias”) ona

właśnie odkrywa - odsłania się powoli Edycie Stein również w swej *Istocie*, w tym, Kim jest. Droga do wiary jest otwarta.

Bóg prowadzi Edytę Stein już tylko Jemu znanymi drogami. Najpierw darowuje światło, nowe widzenie owych fenomenów całej rzeczywistości. Edyta widzi świat na nowo, jak nigdy przedtem, angażuje swą wiarę w sprawy społeczne, niejako chce „odrobić” czas swej młodości, naucza, wychowuje, koryguje pisma filozofów, udzielając rad z głębi już chrześcijańskiej duszy. Przeżywa czas *darowanego światła*. I tu jest ciekawy paradoks: po okresie fenomenologicznego odchodzenia w idee, odchodzenia od realności rzeczy i wydarzeń ku temu, co „jedynie w umyśle” - teraz tajemniczo, za sprawą tego (zdawałoby się - tylko) „Fenomenu”, jakim jest Bóg (dla fenomenologów - jeden z fenomenów), którego istnienie brano w nawias - Edyta Stein „wraca do świata” (!), do rzeczywistości bogatej znowu w rzeczy, ludzi, zjawiska, wydarzenia, i to dotykalne, do których trzeba odnosić się z jedynym w swoim rodzaju, ściśle chrześcijańskim stosunkiem: z *akceptacją*, a nawet z *rezygnacją*. Za sprawą Boga, który wkracza jako Osoba w życie Edyty Stein, powraca ona do postawy realistycznej i to w tak kategoriyczny sposób, że *akceptuje, przyjmuje (w duchu chrześcijańskiej rezygnacji)* rzeczy i ludzi aż po: bydłęcy wagon do Oświęcimia, obozy przejściowe, rampę, druty kolczaste, komorę gazową, śmierć. Szerokim lukiem powróciła ona do tego, *co realne tutaj*, na ziemi, ale powróciła już *nie dlatego, że każe jej tak ratio, lecz fides i nie w sposób właściwy dla ratio, lecz dla fides*. To już nie fenomenologia, lecz wiara. Za sprawą Boga, ów *akt szukania prawdy*, jakiego dokonywała Edyta Stein, będąc filozofem, został *odwrócony* - to, co było „redukowane”, „brane w nawias” (*istnienie Boga*), przejęło inicjatywę w procesie poznawczym: udzieliło najpierw swego światła całej rzeczywistości, następnie wprowadziło Edytę Stein w ciemności (już owe *darowane*), samo redukując „jej dostępny świat” do poznania ciemnego, do nocy ciemnej w wierze - Jan od Krzyża nazywał to „ciemnym promieniem wiary” - po to, aby przyprowadzić ją już tylko do Siebie, do Ojca. I taką właśnie wstąpiła Edyta Stein do Karmelu.

Odkrywamy, że jej życiowa droga ujawnia jedno z istotnych **praw ewangelizacji**, w tym i ewangelizacji misyjnej, w czasie której mają miejsce napięcia między wyborami i decyzjami w sferach: *ratio* i *fides*, tam, gdzie następuje podstawowe dla wiary przesilenie od strony samej *ratio* ku pełnej postawie wyrażającej się w *fides*. Chodzi o wskazaną powyżej: a k c e p t a c j ę. Bóg jest Bogiem historii, w Historii Zbawienia, wśród rzeczy, ludzi i wydarzeń - w szerokim *sakramentalnym* sensie. Akceptacja człowieka, danej rzeczy lub wydarzenia na naszej drodze, właśnie prosta

akceptacja, przyjęcie do wiadomości *faktu* - jest często akceptacją Obecności Bożej przychodzącej *razem* z tymże człowiekiem, rzeczą, wydarzeniem, jest akceptacją dokonywaną *ze względu* na Obecność Boga, który objawia się *zaraz za* owym napotkanym: człowiekiem, rzeczą, wydarzeniem. To prawo ewangelizacji mówi, że Bóg włącza: ludzi, rzeczy, wydarzenia w ewangelizację, *jako Krzyż*, On nadaje im wszystkim *cechy Krzyża*, bo to, co nazywamy Krzyżem pochodzi wyłącznie od samego Boga, jako nowy wymiar dla: ludzi, rzeczy, wydarzeń. Nie ma prawdziwej misji bez takiej akceptacji, która przemienia rzeczywistość w Krzyż. Całe życie misjonarza, jest ciągłą *paschą*, przechodzeniem i przeprowadzaniem innych do Chrystusa przez zasłonę rozmaitych fenomenów napotykanych codziennie. W związku z tym przekonaniem Edyta Stein, podobnie jak wiele osób w Karmelu przyjęła nowe imię: Teresa Benedykta *od Krzyża*, jako drogę, program dla siebie. I ta droga wypełniła się Obecnością.

W rezultacie, świat wewnętrzny Karmelu *musiał* poniekąd pojawić się w jej życiu. Był ukryty już wcześniej. Spontaniczne wyciągnięcie z bibliotecznej półki *Życia św. Teresy od Jezusa* - jako zupełnie przypadkowy odruch - i opinia: „to jest prawda!” - znają misjonarze z własnego doświadczenia! To nie jest wcale odosobnione wydarzenie. Karmel rzeczywiście prowadzi. *Od strony Boga nie ma przypadków* - mawiała Teresa Benedykta od Krzyża. Jeśli tak, to znowu powraca jak echo przekonanie: Mała św. Teresa od Dzieciątka Jezus, jako karmelitanka została patronką misji świętych, ponieważ w głębi reprezentowanego przez nią *świata wiary* kryły się zasadnicze prawa ewangelizacji, a w szczególności główne prawa misji w świecie kulturowo i religijnie zróżnicowanym. Misjonarze muszą kierować się prawdziwą mądrością i znajomością wewnętrznej struktury wiary katolickiej, jako że: „misje są sprawą wiary” (RM, 11). Dla nas wszystkich duchowość i formacja Karmelu pozostaje prawdziwą szkołą misyjności, posłania do świata.

4. Karmelitańskie *oderwanie* a integralność ludzkiego poznania.

Dotychczasowa refleksja była próbą uświadomienia sobie wewnętrznej treści „kryzysu”: *istnienie - istota*, czy też: *realizm - idealizm*, który miał miejsce w życiu Edyty Stein za sprawą fenomenologii. Pragnienie głębszego poznania rzeczywistości wiązało się tam z fenomenologicznym „nawykiem”, jakim była metoda „redukcji transcendentalnej”. To skądinąd zastanawiające, że w drodze ku *pełniejszemu* oglądowi rzeczywistości ktoś jest zmuszony wewnętrznie do dokonywania metodycznej *redukcji*,

brania w nawias jakiegoś wymiaru tejże rzeczywistości. Czy ten fenomenologiczny „nawyk” przyniósł Edycie Stein satysfakcję (w ramach samego *ratio*) integralnego, całościowego spojrzenia na świat? Próbowano wyżej wykazać, że nie. Nie znaczy to jednak, aby wraz z uświadomieniem sobie granic rozumu, „przepadła” sama intuicja integralności wszystkiego, co istnieje. Pewien ogląd całości, spójności wśród istniejących bytów osiągnęła Edyta Stein już w innej sferze ducha, w ramach wiary, a spór: *istnienie - istota* przekształcił się w relację: *akceptacja - oderwanie*. Było to poniekąd owocem owej zmiany orientacji życiowej i poznawczej Edyty Stein, z osoby świadomej tego, że *ona sama transcenduje* jakoś istniejącą rzeczywistość, w badacza, który *podlega* transcendowaniu przez Mądrość Bożą - i dlatego sam może transcendować świat wokół siebie. Dostrzegła ona i przyjęła Kogoś wyższego od siebie, kto dysponuje światłem niezbędnym dla naszego poznania. Wierzę, abym poznał. ***Credo ut intellegam!***

Warto zwrócić uwagę na strukturę konfliktu, jaki cechuje postawę wiary: już nie postawa „dokonywania redukcji rozumowych”, nie dylemat: istnienie - istota, lecz napięcie w rodzaju: *akceptuję - odrywam się*. Zanim *oderwanie* (czytaj: ogołocenie, umartwienie) stało się w Karmelu chlebem powszednim Teresy Benedykty od Krzyża, ona już od strony swej fenomenologii wiedziała, że taka postawa może kierować życiem człowieka (być swego rodzaju *kluczem*) - tyle, że na gruncie fenomenologii nazywało się to właśnie *redukowaniem, braniem w nawias*. Pozwalało to (owszem) na tamtym terenie filozoficznym budować określoną *całościowość* rzeczywistości, lecz w rezultacie ujawniło swą niewystarczalność. Można powiedzieć, że jeśli jakaś ciągłość istniała w życiu Edyty Stein: filozofa - karmelitanki, to znaczy, że jej Karmel był czasem radykalnej (przez wiarę) *krytyki* owej wcześniejszej postawy redukcjonistycznej. Odtąd Teresa Benedykta od Krzyża działa i poznaje w innej perspektywie: zamiast „brać w nawias” to czy tamto z istniejącej rzeczywistości - *akceptuje* w duchu wiary: *akceptuje*: rzeczy, wydarzenia, ludzi takimi, jakimi faktycznie teraz są. Na nowo odkrywa to, co się nazywa *realnością* świata. Z kolei, aby owa *akceptacja* mogła budować integralne spojrzenie na rzeczywistość, dobiera sobie *postawę oderwania*. Dopiero razem, w jakimś wspólnym ruchu inspirowanym przez wiarę: *akceptacja i oderwanie* budują Edytę Stein na nowo, jako nowe stworzenie, kogoś integralnego w sobie. Zatem upragniona całościowość i spójność przychodzi nie przez dowolną, rozumową redukcję poznawczą, lecz przez *przyjmowanie-odrywanie się*: w relacji do: ludzi, rzeczy i wydarzeń, czyli przez Krzyż, jako realizowaną wolę Bożą, spełniany Plan Boży wobec siebie.

Teresa Benedykta od Krzyża, żyjąc już w Karmelu, była świadoma istniejącej różnicy między tymi dwoma światami: poznawania przez „branie w nawias” i poznawania przez wiarę, która prowadzi wzdłuż *akceptacji-odrywania się*.

Różnica ta jest zasadnicza dla ewangelizacji świata. Jest ona także znana w środowisku misyjnym, czyli tym, które nieustannie *idzie* do świata. Misjonarze uświadamiają sobie w spotkaniach z ludami i narodami, że w ich własnej kulturze kierują się one (np. ludy określane jako pierwotne) jakąś formą fenomenologii, jakąś postawą natury fenomenologicznej - tam, gdzie - właśnie: dokonują owej *redukcji* myślowej, gdzie jakoś *biorą w nawias* elementy, kategorie realnego świata, po czym, dochodzą jakoś do im tylko znanej integralności, całościowości poznawczej. To, co w owych kulturach określamy jako „kosmologię-teologię” jest raczej specyficzną fenomenologią. Fenomenologia nie została tak po prostu wymyślona przez Edmunda Husserla, nie jest postawą właściwą jedynie dla Europejczyka. Autentyczne myślenie przyczynowo-skutkowe, refleksyjność, które cechują np. żyjących stale w dżungli Afrykańczyków ujawniają zupełnie naturalną postawę, pewną zdolność ogólnoludzką, którą w szerszym sensie możemy nazwać *fenomenologią*. Uściślijmy jednak, że sąd taki wydaje się tu wyłącznie przez zaobserwowanie u ludów pewnego naturalnego nawyku dokonywania (nawet całościowych, globalnych) *redukcji* myślowych w odniesieniu do rzeczywistości wokół istniejącej. To, że kosmos tych ludów „*działa inaczej*” niż w ustaleniach naukowych, przyrodniczych, a także *inaczej* niż w teologii misjonarzy, to, że jest to cały czas ten sam kosmos, lecz w innych relacjach i zależnościach - jest wynikiem jakiejś *naturalnej skłonności fenomenologicznej*, która każe łączyć poszczególne fenomeny w doświadczeniu ludzkim *według swego klucza - brania w nawias, redukowania*. Często już w okresie „przejściowym” do pełniejszej formacji chrześcijańskiej, ludzie nawet obeznani z nauką Kościoła, po odbyciu wielu kursów formacyjnych, potrafią „wracać” w swej psychice do dawnych obrazów, tłumaczących świat w kategoriach, które zdają się nie dostrzegać ich własnego, już przecież, systemu argumentacji chrześcijańskiej. Ludzie ci przeżywają okresy myślenia równoległego, „obok” tego, co już przez ewangelizację poznali. Znaczy to, że *poprzednio* widziana, rozumiana integralność świata cały czas manifestuje swą zwartość, oddziałuje stale na osobowość danego człowieka, *usuwa w cień - właśnie: redukuje, bierze w nawias* - logikę uzyskiwaną za sprawą ewangelizacji. Nie jest to wyłącznie sprawa złej woli ani zapierania się chrześcijaństwa, raczej jakaś niewysublimowana zdolność człowieka jako osoby, mogącej przetrwać tylko pod warunkiem integracji wewnętrznej, takiej czy innej, ale własnej. Misjonarz powinien

mieć świadomość zarówno tej ludzkiej skłonności, *nawyku redukowania dla budowania spójności rzeczy*, jak i tego, że nawrócenie nie dokonuje się normalną drogą przez swego rodzaju „banię” ze swego spójnego świata, lecz w sposób wieloetapowy. Kościół na misjach stale uczy się człowieka, „który jest jego drogą”. Świadczy to także o wadze i głębi samej ewangelizacji, dokonywanej w *cierpliwości*, bo ta z kolei jest cechą *miłości* (św. Paweł). Wobec tych problemów misjonarz często uświadamia sobie, jak ważnym dla nawrócenia ludzi jest (z jego strony) po prostu - *nieustanne towarzyszenie im, bycie z nimi*, stałość świadectwa, wytrwałość misjonarska, ojcostwo duchowe.

Jakże odrębnym zjawiskiem, w porównaniu z owym *nawykiem brania w nawias, redukowania*, jest chrześcijańskie (karmelitańskie) *akceptowanie-odrywanie*. Daje ono całościowy ogląd rzeczywistości, spójny i integralny, a przy tym prawdziwy, ponieważ dokonany w perspektywie Chrystusowej. Karmelitańskie *oderwanie przez wiarę* (ogołocenie, umartwienie), jest całkowitą odwrotnością zwykłego *redukowania w sferze ratio*. To pierwsze kształtuje pełny ogląd rzeczywistości, otwarty jednocześnie na Boga, to drugie, owszem, buduje jakąś spójność, jednak zamkniętą w sobie i iluzoryczną wobec prawdy.

Edyta Stein, stając się w Karmelu Teresą Benedyktą od Krzyża, weszła na drogę budowania siebie od nowa, ku prawdziwej pełni, prawdziwej integralności wewnętrznej, w najgłębszy sposób pogodzonej z Bogiem, ludźmi, rzeczami i wydarzeniami. Nowa akceptacja, nowe oderwanie, nowe stworzenie, nowa misja.

Dotychczasowe rozważania można zakończyć apelem o tworzenie *ognisk* szerokiego ruchu ewangelizacyjnego, w którym duchowość i formacja karmelitańska z jednej strony oraz zapal misyjny z drugiej, wyjdą sobie naprzeciw.